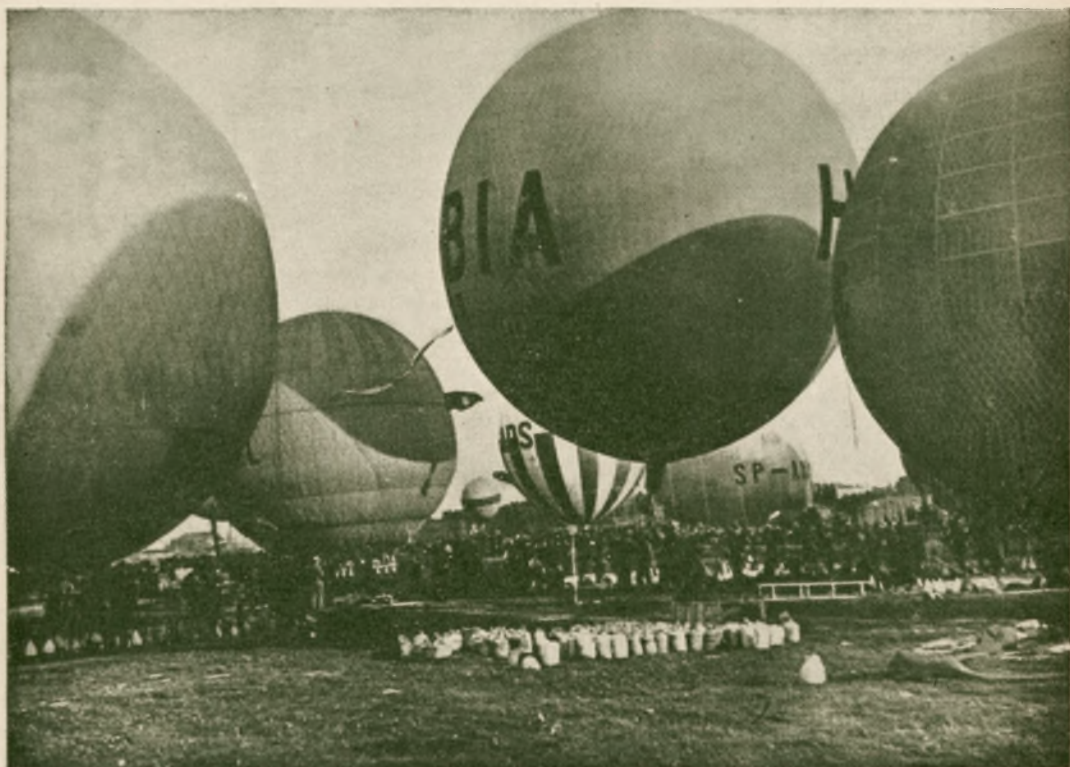
DZIŚ

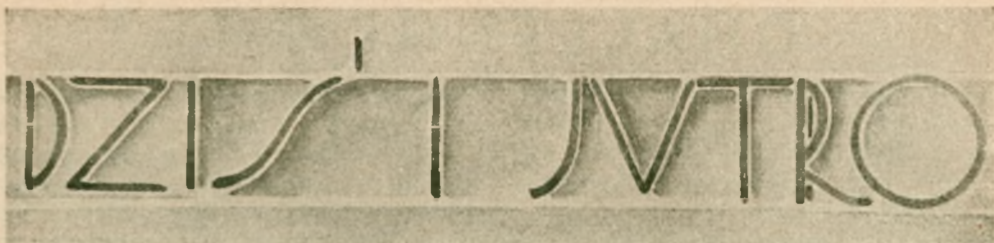


I JUTRO

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY DLA MŁODZIEŻY

ROK XI. KRAKÓW, PAŹDZIERNIK 1934. Nr. 2.

BALONY W CHWILI WZLOTU Z POLA MOKOTOWSKIEGO.



PISMO DLA MŁODZIEŻY

ROK XI. KRAKÓW, PAŹDZIERNIK 1934. Nr. 2.

LOTNIKOM NASZYM

Polaków niosły skrzydła w boje
gdzieś pod Grunwaldem — pod Wiedniem,
kiedy odziani w husarskie zbroje
w ataku na wroga rwali
i w imię Boga
zawsze zwyciężali!

A potem sławy nowa era —
wąwóz w Hiszpanji — Samossiera!...
Ryk armat — szczęk pałaszy —
duszne opary krwi — tumany...
Hej! hej! Ułany!

Ułańskie lśniły w słońcu kaski,
kiedy szli również w zwycięstw blaski
i pod Rokitną...

A dzisiaj szczytną —
chociaż w pokoju
zdobywają sławę
Ci — co w znoju
na orłów się przekształcają.
Skrzydeł u ramion nie mają —
lecz ptakom podobni —
młodzi a zdobni
męstwem —
polskiem szaleństwem,
lecą w obłoki...
Śmigła nie widać — motor warczy —
sił na te loty im starczy!
Jak tamci szli po szarej ziemi —
co kopytami końskiemi dudniała —
tak ci w obłokach zawsze pierwsi...

A więc — gdy przyjdą przed sąd boży —
to rzekną — że jak orły żyli —
jak ptaki —
i każdy z onych raport złoży —
że rwali w podniebne szlaki

jak na zabawę —
aby podniebną zyskać sławę
dla swej ojczyzny!

Tamci krwawe
staczali zawsze z wrogiem boje —
ci zaś, w powietrzne idąc loty —
myśli — talentu ostre groty
wbijają w piersi — w głowy wroga...
. . . .

i coraz bliżej są już Boga!

Bol. Karpiński.

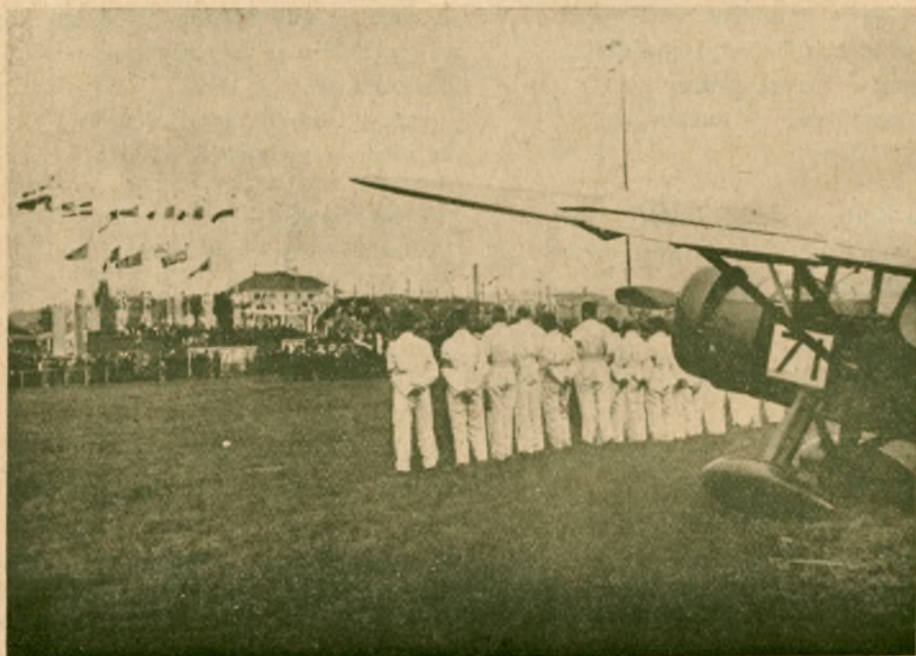
CHALLENGE 1934

Już po forsownych próbach samolotów. Już nawet po gigantycznym locie dookoła Europy i Afryki. Nadszedł dzień 16 września, który miał rozstrzygnąć o pierwszeństwie skrzydeł w Europie.

Nieprzeliczone tłumy zebrały się na lotnisku mokotowskiem, by oglądać startujące maszyny. Od samego rana zajmowano miejsca. Ulice dosłownie zapchane samochodami. Niebo wyzłociło się jesiennemi promieniami słońca. Hej, jak Polska długa i szeroka, entuzjazm i nadzieja. A na lotnisko mokotowskie przybywa Prezydent Rzeczypospolitej, Rząd i generalicja, przedstawiciele obcych państw i tłumy, tłumy... Nieruchome stalowe ptaki, podziwiane przez otaczających, ludzie— ptaki w białych combinezonach, chorągwie, zieleń... Coś chwyta za gardło i każe zapominieć na chwilę, że jest kryzys, że są weksle i kłopoty. Człowiek zespala się z tłumem w jedno pragnienie, aby to nasi przyszli pierwsi.

Godzina startu się zbliża. Szmer rośnie, potężnieje. Start. Opada kolorowa chorągiew i zwycięzca dotychczasowy, kpt. Bajan rusza wdal po laury. Po nim wzlatuje Płonczyński, a w dwie minuty później zrywa się potężna maszyna z Seidemanem, najgroźniejszym przeciwnikiem polskich barw. Wielki Fieseler pruł groźnie powietrze i »siedział cały czas na ogonie« naszej RWD-9, którą prowadził Płonczyński. Start odbywa się dalej. Huragany braw zbiera Gedgowd, który jakimś sobie tylko znanym sposobem wyprzedza przed nim lecącego Niemca, który dopiero wzlatywał. Odlecieli. Niebo jasne uśmiecha się nadzieją. Zapada powoli milczenie i każdy wspomina emocje tych 20 dni, w których czuł się również lotnikiem. Atmosfera challengowa objęła cały naród. Nazwiska naszych asów były na ustach wszystkich. Zapał, entuzjazm, trwoga i nadzieja szarpały zkolei naszemi nerwami, by wreszcie w tym dniu 16 września połączyć się i wspólnym atakiem objąć myśli i serca.

Niejednemu staje przed oczyma trasa przebytego przez zawodników lotu. Jawi się szare lotnisko Mokotowskie z dn. 7 września,



R. W. D.—9 Kpt. Bajana. *Fot. Photo-Plat.*



Przybycie Kpt. Bajana na lotnisko. *Fot. Photo-Plat.*

gdy o godz. 5 rano startowały maszyny do gigantycznego lotu. WARSZAWA — startuje 32 maszyny. Niemal w pół godziny po starcie pierwsze maszyny znajdowały się nad KRÓLEWCEM. Wszyscy wylecieli do BERLINA — Karpiński ma defekt. Ciężka noc oczekiwania: »naprawi, czy nie naprawi«. »Naprawił, wyleciał do KOLONJI« — wiadomość przyniosły poranne gazety. Do PARYŻA żadnych emocyj. Pod Bordeaux miał wylądować przymusowo Buczyński, gazety podały nawet wiadomość o jego wycofaniu się. W parę godzin dowiadujemy się, że nieprawda i że dziewięciu lotników naszych z BAJANEM na czele wystartowało do MADRYTU.

Wszędzie pierwszy przybywa por. Włodarkiewicz — brzmią dalsze komunikaty — Już w Zagrzebiu otrzymuje zaszczytne miano »Pożeracza kilometrów«, bo też gna ten najmłodszy z lotników biorących udział w Challenge'u! Z prawdziwą młodzieńczą brawurą pędzi przez mgły towarzyszące mu od ZAGRZEBIA do WIEDNIA, jednym zamachem śmigieł przebywa przestrzeń WIEDEŃ—BRNO i pędzi ku granicy polskiej. W Katowicach witany entuzjastycznie nie odpoczywa długo. Pędzi dalej na czele wszystkich ekip, wszędzie widząc zdumione twarze, pochylone z szacunkiem przed polską maszyną P. Z. L. i polską zaiste fantazją.

Oczekiwanie na wracające maszyny nie dłuży się. Każdy przeżywa jeszcze emocje z niedawnych dni. Dotąd pamiętamy rozpacz, gdy do Warszawy przyszedł meldunek o przymusowem lądowaniu Włodarkiewicza w Krakowie. Potem gradem posypały się niepowodzenia: Przed Lwowem »siadł« Macpherson na »Mothie«, w Katowicach lotnik niemiecki Junck uszkodził swą maszynę. W aparacie Balcera lecącego na PZL.-26 pękła sprężarka, kpt. Dudziński również meldował uszkodzenie.

A potem, potem nadleciał Gedgowd niosąc na swych skrzydłach wiadomość, że BAJAN zaraz startuje do Wilna, że reszta zawodników niedługo będzie w Warszawie. I przybyli wszyscy. Zmęczeni, szarzy od znoju, a radośni od pokonanego trudu. A teraz znowu ich niema i znowu tam zmagają

się z czasem i przestrzenią. »Czemu tak długo trwa ten lot«?

Niecierpliwość rośnie. Każda przelatująca wrona zda się być już tym wymarzonym samolotem, co wzbudza wesołość wśród wyczekujących. Jednak zdenerwowanie przybiera szybko na »temperaturze«. Ludzie co chwila podnoszą wgórę zmęczone od wysiłku oczy. Ślędzą z zapartym oddechem. Nagle wielki krzyk: »Leci«, wstrząsnął lotniskiem. Rzeczywiście nadlatywał, ale kto? Długie, jak wieki chwile oczekiwania. I znowu krzyk, ale jeszcze potężniejszy: »BAJAN, BAJAN wraca!«. Dławią łzy, wzruszenie ogarnia wszystkich. Krzyki nie milkną ani na chwilę, choć są już schrypnięte — Oto znowu przed Europą lotnicy świadczą o pierwszeństwie naszych skrzydeł, naszych motorów, znowu przekazują historji nazwiska naszych genjalnych konstruktorów, naszych dzielnych pilotów. I to wszystko tak nagle się uświadomiło tym stojącym na lotnisku, tak nagle, w jednej chwili wszyscy zrozumieli, że ten człowiek wychodzący z samolotu uosabia przecież Lotnictwo Polskie i że nie zawiódł naszych nadziei.

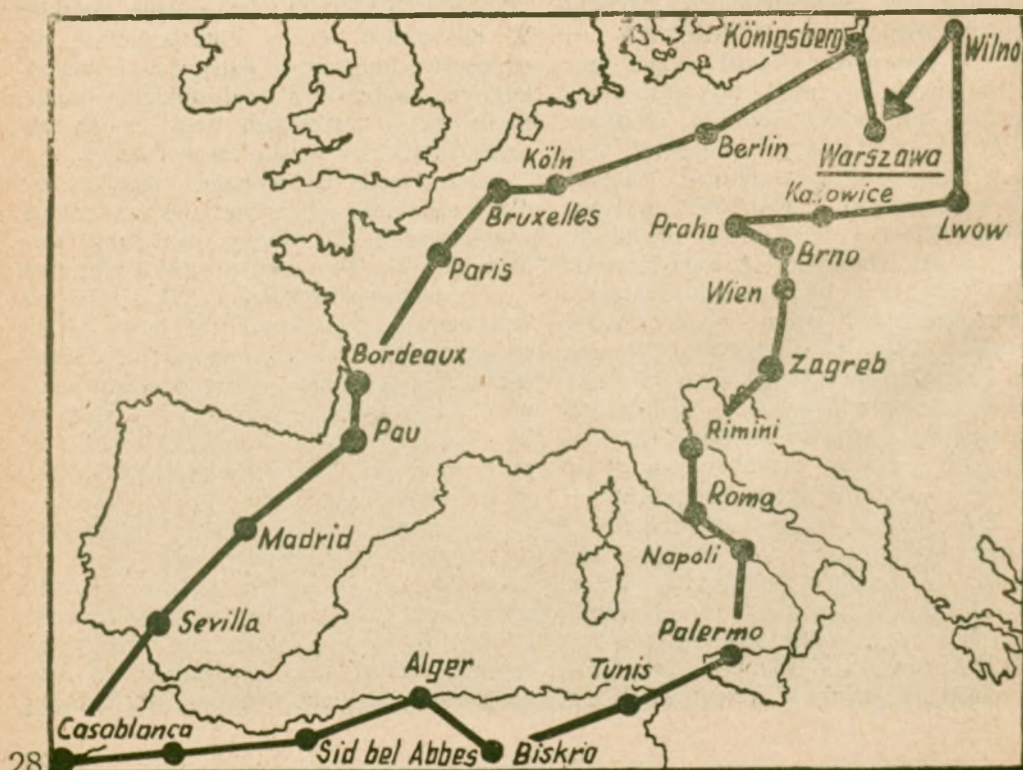
A On jedzie już przed trybuny, wznosi rękę — Wybiegają ku Niemu co chwila wiwaty, powiewają chorągiewki. Przed lożą Prezydenta samochód staje i ZWYCIĘZCA otrzymuje gratulacje od Głowy Państwa.

W kilka chwil później ląduje PŁONCZYŃSKI. Dwa pierwsze miejsca zapewnione. Nowe wiwaty i krzyki.

A na Powązkach, w grobie tonącym od kwiecia leżą Ci, którym zawdzięczamy ten dzisiejszy dzień. I gdy brzmi Hymn Narodowy, wielu przeniosło się myślą o dwa lata wstecz, gdy dzięki zwycięstwu ŻWIRKI i WIGURY melodja: »Jeszcze Polska nie zginęła« brzmiała nad lotniskiem berlińskiem budząc podziw i cześć dla lotników Zmartwychwstałej i tak prędko otrzymującej laury naszej Ojczyzny. Lotnicy BAJAN i PŁONCZYŃSKI są godnymi spadkobiercami Tych, co pierwsi pokazali Europie, że lotnictwo Polskie nie ustępuje, ale przewyższa inne. CZEŚĆ pamięci Umarłych — CHWAŁA — Żyjącym!

Dena Mazaraki.

Fot. I. K. C.





REKORDY

Widzisz, tam się piętrzą szczyty
I błyskawic źrenicami
Spoglądają na się z chmur.
Jakie strome ich granity,
Te granity gór,
Te nad obłokami!
Naprzód, naprzód! — siły masz,
Aby wichrom spojrzeć w twarz.

Słyszysz? szumi morze zdala.
Czy nie ciągnie cię głąb fali?
Taka tajemnicza toń...
Raz wraz wznosi się pianami,
To szaleństwem się zapala,
To pokornie chyli skroń.
Moc w ramionach! A więc wprzód,
Na otchłanie wód!!

Ma ocean swe granice,
Chociaż zdaje się bez końca,
Ma ocean dna.
Chcesz bezmiarów? podnieś lice,
Spójrz na drogi mleczne słońca,
Dotąd myśl je ledwie zna,
Jeśli zechcesz, skrzydła bierz.
Leć, niebiosa zmierz.

Na tem koniec? Tak i nie.
Hej, są większe oceany,
Są granitów twardsze ściany,
Są czyściejszych nieb lazury,
Są silniejsze huragany
Niż te z dzikich pustyń głuszy...
— Są?... Jam gotów! Jam zdobywca!
Gdzie są?... W duszy...

Zwir.

RZYM WSPÓŁCZESNY

Trzy miasta w jednem. Trzy różne kultury — owoce trzech różnych epok i mentalności — to Rzym pogański — Cezarów, chrześcijański — Papieży i najmłodszy — faszystowski — Rzym Mussoliniego, który dopiero narasta wśród tamtych i na tamtych.

W tej troistości charakteru »Wiecznego Miasta« kryje się tajemnica jego powodzenia. Dąży tam z równą ochotą malarz, rzeźbiarz, dziennikarz, historyk, polityk, ksiądz, student uczony...

W majestatycznem pięknie bazylik żyje potęga myśli chrześcijańskiej, która snuje się nicią przewodnią między »dawnemi a nowemi laty«. Pogański Rzym w ruinach panoszy się w luksusie przestrzeni — luksusie bezużytecznego balastu w rodzaju gigantycznego »Coloseum«. Ruiny — olbrzymy stoją jako świadectwo bezsiły ludzkiej wobec prawa śmierci i znikomości ziemskiej chwały. Ale oto »Duce« chce wskrzesić dawną potęgę i splendor starożytny Romy. Na »Forum Romanum« pracują dziesiątki robotników, odkopując kolumny, zasypane mury i rzeźby. Te odgrzebane szkielety dawnych gmachów mają przypominać nowym pokoleniom minioną potęgą cesarstwa rzymskiego, mają rodzić nowe sny o chwalebnem jutrze ojczyzny... Narazie — stosy gruzów i tysiące lir, utopionych w pracach restauracyjnych.

Podając rękę starożytnej przeszłości rzymskiej, żyje Mussolini teraźniejszością, pamięta, że jest twórcą ważnego odcinka historji kraju, któremu musi zostawić niemniej trwały pomnik swej epoki. Przejąwszy myśl antycznej Romy, kazał zbudować wspaniałe dzieło »Foro Mussolini«, ujęte w architektoniczne formy dnia dzisiejszego. Całą koncepcję tego forum można nazwać stylizowaniem form starożytnych.

Na forum Mussoliniego składają się: stadjon sportowy, budynki mieszczące Akademję Wychowania Fizycznego i monolit wzniesiony ku czci »Duce«. Na tle starożytnych pinij i smutnych cyprysów odcina się malowniczo niepokalana biel marmurowego stadjonu. W olśniewającem południowem słońcu całość wygląda imponująco. Bieżnia utrzymana w kolorze czerwonym jest otoczona marmurowemi schodami. Na ostatnim stopniu rozmieszczono szereg posągów, przedstawiających sportowców wszelkiego rodzaju. Więc np. biegacza, wioślarza, pływaka itp. Są to figury ofiarowane przez poszczególne miasta włoskie, których nazwy umieszczono na cokołach. Trybunę reprezentacyjną zdobią potężne rzeźby w bronzie, wyobrażające zapaśników.



Monolit wzniesiony ku czci Mussoliniego.

Akademja Wychowania Fizycznego zbudowana i urządzona jak najbardziej nowocześnie. Celem jej — wychowanie włoskiego pokolenia w tężyźnie i zdrowiu fizycznem na wzór potężnych marmurowych postaci.

Forum Mussoliniego jest wymownym symbolem nawrotu do starożytnej kultury ciała, do odrodzenia zdegenerowanych sił ludzkości przez wychowanie fizyczne.

Takie jest odruchowe dążenie dzisiejszego świata. Odczuł je też Mussolini w narodzie i w tym duchu zbudował pomnik swym czasom.

Dzisiejszy Rzym oddycha i żyje faszyzmem. Z budynków i słupów patrzą wielkie podobizny »duce«, ulicami przechodzą często większe lub mniejsze oddziały »czarnych koszul«.

Entuzjazm do ruchu faszystowskiego zagrzewa potężnie od dwóch lat trwająca wystawa przy Via Nazionale: »Nostra della Rivoluzione Fascista«. Wystawa ta pokazuje stopniowy rozwój gwiazdy Mussoliniego, wszystkie etapy walki, wdzieranie się zdobywcze do dusz ludzkich poprzez »Il Popolo d' Italia« — własny dziennik bojowy. Przechodząc z sali do sali czuje się silne »crescendo« faszyzmu. Z roku na rok rośnie jego siła. Cyfry, statystyki, wykresy, ilustracje — ułożone w sposób ogromnie impresjonujący. Wkońcu — nastrojowa chwila w »Sanctuario« — kaplicy



Ogólny widok Stadj onu.

bohaterów — faszystów, którzy dla ojczyzny krew przelali. W środku stoi na straży młody faszysta. W półmroku widać tylko ciemną sylwetkę. »Sanctuario« oświetlone jest słabym promieniem światła, wydobywającego się z pod krzyża. Olbrzymi krzyż stalowy wspiera się na czerwonej podstawie. To symbol krwi przelanej... Wokół tysiączne napisy: »Presente« — co znaczy: gotów! Każdy faszysta ma być gotów do walki w imię swych poległych braci. Ściany udekorowane sztandarami i krzyżami walecznych gadają przeogromną historję walk i poświęceń bohaterskich. Wgórze — ciemne, granatowe niebo pogodnej nocy włoskiej, a zdala dochodzą stłumione bojowe dźwięki »Giovinezzy« — marszu faszystowskiego.



Trybuna reprezentacyjna stadjonu z posągiem bronzowym

Jak silny musi być czar tego nastroju dla narodu włoskiego, skoro cudzoziemcowi oko szkli się łzą wzruszenia, a serce wzbiera chęcią bohaterskiego czynu...

Rzym faszystowski narasta na kulturze starożytnej i chrześcijańskiej. Będąc stolicą Italji jest zarazem Stolicą Chrześcijaństwa i ten fakt nadaje mu specjalne piętno, wyróżniające od innych stolic. Zbiega się w siedzibie Ojca św. najwięcej ambasad i poselstw. — Przyjeżdżają delegacje i wycieczki z najbardziej egzotycznych krajów. Liczba ich powiększa się ciągle w miarę udogodnień komunikacyjnych.

Ta defilada narodów przez Wieczne Miasto nie pozostaje bez wpływu na kształtowanie się jego charakteru i sylwetki. Już dziś mówi się, że Rzym nie jest miastem »pur sang« włoskiem.

I właśnie ten puls życia całego świata, to amerykańskie tempo ulicy — na tle bezcennych, niedoścignionych skarbów wiekowej kultury, stanowi specyficzny urok Rzymu.

Zofja Karczewska.



Widok ogólny na forum Mussoliniego

Z MARZENIA — RZECZYWISTOŚĆ

»Niełatwem jest nasze życie. Trzeba z życia zrobić marzenie, z marzenia — rzeczywistość« — pisał do umiłowanej żony Piotr Curie. Przytoczyła te słowa Marja Curie we wspomnieniach o mężu, a dziś — trudno oprzeć się, by nie przytoczyć tych słów, pisząc o Skłodowskiej: Ziszczeniem marzeń było jej życie, ucieleśnieniem marzenia lek cudowny — rad.

Związana obywatelstwem z Francją, związana z mężem Francuzem, uczonym wielkiej miary, nie zapominała nigdy Marja Curie Skłodowska, że była Polką, że owoce swej, pracy winna oddać przedewszystkiem Polsce. I oto — tajemniczą, nową, o nadzwyczajnych właściwościach promieniotwórczych wykrytą substancję chemiczną, nazywa na cześć Polski »Polonem«. A gdy w r. 1932 otwierano w Warszawie Instytut Radowy, Skłodowska ofiarowała do niego cały gram radu.

1 gram! Cóż za śmieszna liczba! Ale gdy pomyślimy, że ten gram radu wydzielać będzie ciepło i energję promienistą przez dwa i pół tysiące lat, że dla otrzymania tego gramu radu należało przewieźć kilkaset tonn rudy smołowcowej blisko 200 t. węgla, 300 t. różnych związków chemicznych i 15000 t. płynu, a gdy uprzytomnimy sobie, że nim rad wydzielono, należało dokonać dziesięć tysięcy przemian chemicznych i że ten gramowy skarb jest wartości pół miljona złotych — wówczas inaczej patrzymy na »skromny« dar naszej Rodaczki. Pół miljona złotych... ale cóż i to znaczy, wobec dobrodziejstwa walki z najstraszniejszą chorobą ludzkości — »rakiem«, wobec błogosławieństwa tych, których promieniotwórcza substancja wyrywa z pęt choroby lub śmierci?!

Marja Skłodowska urodziła się w r. 1867 w Warszawie. Ojciec jej, Władysław, sam

JAK DZIECKO DAŁO NATCHNIENIE

Zelgorski otulił się lepiej w swą wyszarzałą surducinę —

Brr! — zimno! to nic, za parę dni będzie cieplej.

Przyjdą pieniądze — jest przecie zamówienie na artykuły, obietnica wysokiego honorarjum zupełnie pewna.

Ale cóż, kiedy natchnienie uleciało bezpowrotnie.

Kartka papieru wciąż niepokalanej czystości i mocno ogryziony ołówek — oto jedyne owoce rozpaczliwych wysiłków literackich.

Swoją drogą niełatwo mówić o natchnieniu, kiedy człowiek od dwóch dni nic porządnego w ustach nie miał, a zęby kłapią z zimna!

Otworzył z rumotem szufladę od stolika. Wśród różnych porozrzucanych rupieci leżał samotnie krzywy, zmięty papieros, niby widmo beznadziejności i opuszczenia.

No, trzeba wypalić dla ochoty tego ostatniego z mohikanów! — Nowy, nieprędko tu się znajdzie — pieniądze wyliczone do ostatniego grosza na obiady i resztę posiłków, a na papierosy już nie starczy.

Ale co tam! On przecie gardzi pieniędzmi! Autor, poeta, wybraniec muz, ożywiciel ducha narodowego karmiony natchnieniem z górnych sfer! I on ma zważać na marny zarobek?! O nie!..

Zostawia to tym małym, zakurzonym ludziom pędzącym po ulicach.

Brrr... — ale zimno mimo wszystko trzęsie... Widocznie silniejsze jest ono, niżeli duch i natchnienie.

Trzeba przejść się, może ruch trochę rozgrzeje, a świeże powietrze wypędzi z głowy ponure myśli.

Ostrożnie, pocichu przewinął się obok mieszkania gospodyni.

Dziś rano nagabywała go już o komorne. — Powiódł okiem po brudnych ścianach korytarza. Wzrok jego zatrzymał się na starej, o wymiętoszonych rogach wizytówce, żało-

profesor fizyki, z radością patrzył na swą najmłodszą córeczkę, która żywo interesowała się doświadczeniami fizycznemi i chemicznemi. W 15-tym roku życia skończyła Marja Skłodowska gimnazjum i zaraz jęła się pracy zarobkowej, jako nauczycielka prywatna. Nie zaniedbała jednak nauki. Mając 24 lata ruszyła Marja na wyższe studja do Paryża. Tu poznała wybitnego już wówczas w kołach naukowych francuskich i zagranicznych fizyka — Piotra Curie. Pokrewne poglądy i gorące umiłowanie wiedzy zbliżyły wkrótce do siebie tych dwoje ludzi. W r. 1895 związali swe losy dla wspólnego życia i wspólnej naukowej pracy.

Ciężkie i trudne były warunki pracy dwojga uczonych. Nie z luksusowego laboratorjum wyszło największe odkrycie, lecz ze skromnej budy drewnianej. Pracowali w szopie, »w której latem niemiłosiernie piekło słońce, a zimą słabo ogrzewał piecyk żelazny. W szopie tej, bez podłogi, o oszklonym dachu, niedostatecznie chroniącym nas przed deszczem, spędziliśmy najszczęśliwsze lata naszego życia, poświęcając się całkowicie pracy. Pomimo, że byliśmy pozbawieni tych wszystkich udogodnień, które w wysokim stopniu ułatwiają pracę chemika, wykonaliśmy tam mnóstwo doświadczeń nad wciąż wzrastającemi ilościami materji. O ile doświadczeń tych nie można było wykonać nazewnątrz, musieliśmy wchłaniać szkodliwe gazy, które powoli uchodziły przez otwarte okna. Cały inwentarz składał się ze starych zużytych stołów, na których rozstawiałam cenne produkty koncentracji radu. Nie posiadając żadnego sprzętu, w którym moglibyśmy umieścić otrzymane preparaty promieniotwórcze, rozkładaliśmy je na stołach i półkach. Przypominam sobie zachwyt, jakiego doznawaliśmy wchodząc nieraz wieczorem do naszej pracowni, na widok naprzód słabo, potem w miarę wzrostu koncentracji, coraz silniej lśniących światełek, które ze

---

śnie kołyszącej się pod podmuchem wiatru, który od czasu do czasu świeżą falą wdzierał się do wnętrza przez zakratowane okno. — »Tadeusz Galerski« — odczytał.

Temu bezpieczniej na świecie, odziedziczył przynajmniej frak po zmarłym wuju wcale dobry, prawie nieużywany, to mu najpierw przyślą komornika z pieczątką na frak, potem frak zlicytują, a dopiero później, wiele później zabiorą się do wyrzucenia Galerskiego z mieszkania.

A Zelgorski nieborak nie ma nawet wuja, któryby choć surducinę jaką zostawił w spuściznie — nie ma żadnego lepszego mebla, któryby był wart i komornikowskiej pieczątki.

Bez apelu wyleją go z mieszkania, a potem co?

Tak rozmyślając znalazł się na ulicy, gdy wtem, zapach jakiś rozszedł się w powietrzu, zapach taki, co nawet wieszcza potrafi ściągnąć z górnych sfer — cudowna woń świeżego pieczywa! — Nielitościwym rzędem świecą w oknie rumiane bułeczki, duże, małe, okrągłe, podłużne, kanciaste rogaliki, brunatne chlebki, a na każdym zda się napisane wielkiemi literami: »20 złotych« (honorarjum za nowelki).

Zelgorski odwrócił ze wstrętem głowę.

Co to? znowu te pieniądze? —

Ruszył dalej pogrążony w rozmyślaniu o wielkich szlakach ducha.

Co to znowu za zapachy wionęły mu przed nosem? — przypominają jakieś jasne, dobre, nasycone chwile. Raczył spojrzeć —

W oknie kłaniają się kiełbaski i — o ironjo! na każdej z nich majaczą cyframi z masła te nieszczęsne 20 złotych!

Zelgorski żachnął się z wściekłością: Żeby lepiej zamiast tej głupiej liczby, zobaczyć natchnienie świecące na wątrobiance!

A natchnienia ani weź!

Aż hańba o tem myśleć nawet — czuje doskonale, że gdyby przełknął taką kiełbaskę, natchnienie przyszłoby zaraz, — niezwłocznie.

wszech stron ku nam spoglądały«. Oto jak opisuje Marja Curie warunki swej pracy — tak wielkim ukoronowanej rezultatem.

Odkrycie radu i jego własności (trzeba tu zaznaczyć, że rad i polon odkryła Marja Curie, Piotr Curie zajął się badaniem ich właściwości) zjednało państwu Curie światową sławę i nagrodę Nobla.

Marja Skłodowska Curie była początkowo asystentem swego męża na uniwersytecie. Po tragicznej śmierci Piotra w r. 1906 została jednogłośnie powołana na profesora radjologji uniwersytetu paryskiego. Niezadowoliła się jednak wielka uczona samemi wykładami. Pragnąc, by wynalazek radu przyniósł rzeczywistą pomoc cierpiącym, nakłoniła rząd francuski do stworzenia specjalnego instytutu radowego, w którymby leczono chorych bez względu na ich zamożność. Na cel ten ofiarowała wówczas Skłodowska cały swój, ogromnej wartości, zapas radu. W r.1915 stanął gmach Instytutu Radowego w Paryżu. I gdy już, imię Skłodowskiej rozbrzmiewało po całym świecie, jedynem jej życzeniem było, by powstał Instytut Radowy w Warszawie. I to życzenie miało się spełnić. 29 maja 1932 r. otwarto tę zewszechmiar doniosłą placówkę, wzniesioną drogą ofiar publicznych i wielkiego daru Imienniczki Instytutu.

W lipcu 1934 r. zmarła Marja Curie Skłodowska w Valence Sur Rhône we Francji. Zmarła z wycieńczenia spowodowanego długotrwałą anemją i zmianami, jakie powstały w organiźmie wskutek stałego działania promieni »x« i radu.

Zmarła śmiercią chemiczki.

Ale praca przez nią rozpoczęta nie ustanie. Konsekwencje odkrycia pierwiastków promieniotwórczych dają możność wejrzenia w najbardziej intymne zagadki materji. Odkrycie radu wywołało głęboki przewrót w pojęciach naukowych i zapoczątkowało nowy etap w zdobywaniu władzy nad naturą, wskazało nowe drogi, pozwalając wznieść się duchowi ludzkiemu na wyżyny, których w tej chwili jeszcze objąć nie jest w stanie.

Widocznie choć jest ono rzeczą górną, musi się czasem odżywiać czemś zdołu. — Taki już los.

Ach te kiełbaski!

Wyprostowuje się idąc zamaszystym krokiem naprzód.

Już rogatki zamiejskie — wtem coś małego, miękkiego zaplątało się pomiędzy nogi Zelgorskiego i oblubieniec muz o mały włos nie runął jak długi w kałużę.

Kopnął to „coś" z pogardą i oburzeniem — chciał iść dalej, ale »coś« wydało z siebie przeraźliwy pisk, tak przeraźliwy, że nawet anioła zdołałoby ściągnąć z niebiańskich regjonów.

Na drodze wśród błota darł się dzieciak rozczochrany, mizerny, zagłodzony. Brudnemi piąstkami ocierał kapiące łzy zostawiając na policzkach długie czarne smugi. Opodal sterczały niezgrabnie sklecone babki z błota.

Zelgorski przeczekał, aż uspokoi się pierwsza nawała wrzasku, poczem spytał łagodnie:

»Co ty tu robisz brudasku?«.

— »Chcem budować oglód« — odparło chlipiąc zabłocone stworzenie.

— »Tu, w tem błocie?«

— »Tak — taki slicny oglód!«

— »A skąd kwiatów weźmiesz?«

— »Tu — odparło dziecko wstrzymując ostatnie łkania i wskazując na kilka wyschniętych badyli.

— »I to będą kwiatki?«

— »Kwiatki, jak tam na łące za miastem«.

— »Widziałeś tę łąkę?«

Bachor kiwnął głową.

— »Ładna była?«

Nowe kiwnięcie głową z wyrazem pełnym zachwytu.

— »A jaka to była łąka?«

POSTĘP.

Oszalał świat! W zawrotnym leci pędzie —
Postęp nas gna po przerażonej bieżni
I pędzi nas czerwonym biczem pośpiechu...
— tylko spłoszone serce w zmęczonym się
[tłucze człowieku —
Jest jakaś dzika radość w tem wytężeniu
[ogromnem!
— O! gdyby tylko serce nie było tak bardzo
[zmęczone! — —
Szosa z pod nóg ucieka, powietrze warczy
[wokół,
— Zapóźno na namyślanie! nie zatrzyma
[się puszczony motor!
Ziemia z pod nóg ucieka! — co pocznie
[w swem obłąkaniu
Zwycięski, radosny człowiek, gdy doleci na
[świata kraniec?
Ziemia z pod nóg ucieka i mami dalej jak
[przymus;
— Gdy doleci na kraniec ziemi, czy czło-
[wiek się zatrzyma?
Wszak to, co już zdobyte — odrzucił nie-
[cierpliwą pogardą
I uczył się od dziecka zdobywać wolę
[twardą!
Czy mu wystarczy, co zdobył?
A może — zmrużywszy oczy —
Przesadzi kraniec ziemi, odbije się
[i w Wieczność skoczy?

S. M. T.

— »Taka zielona — były slicne kwiatki, cerwone, zółte, niebieskie — ja chcę taką samą zlobić«.

I dziecko dalej kleciło swe babki, sadząc w nie suche badyle.

Zelgorski się zatrzymał — Co, — to małe biedactwo ma być lepsze od niego? —

To dziecko ulicy głodne, opuszczone, buduje wśród błota twory swej fantazji, potrafi odnowić wspomnienie jakiegoś piękna, a on, poeta, wybrane dziecko sztuki, któremu dane było czerpać wiedzę z ksiąg mądrości, on, przebywający wśród górnych duchów nie potrafi wykrzesać z siebie tej odrobiny fantazji na marne nowelki?

Już wie, co teraz napisze — Widział w wyobraźni, jak pod wpływem zmagania się z twardym losem, pod wpływem boskiego talentu, to dziecię ulicy obdarte i wynędzniałe zmieniło się w anioła. Widział światło potęgi myśli okalające czoło dziecięce, widział śnieżne skrzydła natchnienia, co unosiły pacholę wzwyż ku słońcu...

Uchylił czoła przed biednem ubogiem dzieckiem, co dało mu natchnienie i temat.

Szybkim, radosnym krokiem skierował się w stronę mieszkania. Po drodze zawadził o piekarnię.

— »Pani Marcinowo — proszę o bułkę, taką dużą, słodką, o tę największą, na kredyt. Za parę dni zapłacę napewno!«

— »Od jak dawna pan obiecuje mi te pieniądze? — który to już raz daję na kredyt? co?«

— »Ale tym razem to już będzie murowane — natchnienie jest — nowelka za parę godzin będzie, a za nowelkę za parę dni pieniądze, i to grube«.

— »No, mam ja panu wierzyć?«.

I zażywna królowa bułek spojrzała na wynędzniałą twarz młodego chłopca. Bladość jej przemawiała więcej do przekonania pani Marcinowej, niżeli obietnice jakiegoś tam natchnienia. Akurat rozumie, co to znaczy natchnienie — wogóle nie zna takiego słowa.

Na bułce niewielka strata! a ten biedak jeszcze gotów paść gdzie z głodu na ulicy. I czyje sumienie obciążone? — Pani Marcinowej.

— A nuż w nocy umrze (dopiero wczoraj miała takie bicie serca) i powiedzą jej w niebie: »głodny byłem, a nie dałaś mi jeść«.

I wyciągnęła ku młodzieńcowi rękę z bułką.

Zelgorski usunął się w róg sklepu, młode jego zęby pogrążyły się z rozkoszą w miękkiem, słodkiem cieście.

Halszka Szołdrska.

Z „KRASU SŁOWACKIEGO"

Wąskiemi schodami kamiennemi posuwamy się powoli w głąb ziemi. Znika za nami światło dzienne — Drogę wskazują małe lampki elektryczne. Jesteśmy w olbrzymiej jaskini. Gasną wszelkie światła. Do uszu dochodzi głośny szum wody toczącej się wartkim nurtem po kamieniach. Dyskretnie ukryty reflektor oświetla nagle głąb jaskini. Szmaragdowy kolor ścian odbija się prześlicznemi barwami w krynicznej toni. Połyskuje srebrem Lucanka (Łuczanka).

Jesteśmy u wstępu do słynnych Demanowskich Jaskiń, położonych w słowackich Tatrach nad Wagiem.

Niedawno, bo w r. 1926 odkryte przez miejscowego nauczyciela Krala, wapienne te pieczary są w Europie jedyną tego rodzaju osobliwością. Nic też dziwnego, że z roku na rok zwiększa się liczba turystów, zwiedzających Jaskinie. — Obliczono, że ogląda je przeciętnie 40000 ludzi w jednym roku.

Dość wysoka opłata za zwiedzanie, nawet w większej grupie wycieczkowej (8 kc od osoby, czyli mniej więcej 2 zł.), tłumaczy się tem, że w jaskiniach pozakładano nowoczesne urządzenia, które pociągnęły za sobą olbrzymie wydatki. Wygodne chodniki kamienne z poręczami żelaznemi, gęsto rozsiane reflektory, wywołujące najpiękniejsze efekty świetlne. Bez elektryczności zwiedzanie jaskiń byłoby ślepą wędrówką po mokrem dnie pieczary pełnej tęsknoty za słonecznym blaskiem.

Tymczasem kilkokilometrowa przechadzka pozostawia niezapomniane wrażenie.

Ściany tych olbrzymich pieczar pełnych wilgoci pokryte są różnokształtnemi stalaktytami, które spływają od sufitów w najdziwaczniejszych kształtach. Bogactwo barw, z przewagą różowo-żółtej i czerwonej, stwarza obraz krainy baśni. W niektórych miejscach kaprys natury stłoczył większą masę wapiennych słupów stalagmitowo-stalaktytowych, tworząc całe gmachy fantastyczne, w których wyobraźnia człowieka dopatruje się pagody wschodniej, czy pięknego wazonu koralowego. — Ówdzie znów, słupy pracą wieków ulane tworzą komplet organowych piszczałek, które za poruszeniem ręką wydają czyste, harmonijne tony...

Po bajecznie kolorowych ścianach czaruje swą prostotą »Śnieżna grota«. Nieskalana, rażąca jasnością bieli ścian, kontrastuje pięknie z uroczym szmaragdem jeziorka, połyskującego srebrzyście w obramowaniu fantastycznych kształtów wapiennych. Myśl biegnie bezwiednie w dziecinny świat bajek. Uparcie gnębi mnie przekonanie, że tu właśnie mieszkała ongiś zaczarowana królewna, że w tych miejscach ukryte były skarby z bajek Grimma...

Nie pamiętam, jak długo trwała ta wę-

To bajką było!

Słyszałem kiedyś taką bajkę:
Kwiaty nie zeszły na wiosnę —
Słyszałem kiedyś taką bajkę:
Łzy się kwieciły żałosne!

Słyszałem kiedyś taką baśń,
Że ludzie śmiechu nie znali.
Słyszałem kiedyś taką baśń,
Że wzajem siebie się bali.

Nie wierzcie. To bajką było!
Nie żyje człowiek bez śmiechu,
Nie żyje człowiek bez kwiatów.
Bez kwiatów woni oddechu!

Nie wierzcie! Bo życiu trzeba
Kwiatów i słońca radości!
Bo życie nie skwita łzami,
Ani kwiatami podłości.

Nie wierzcie! Bo życiu wiary,
Wiary potrzeba i siły!
Bo życiu potrzeba oczu
Coby się śmiechem złociły!

Nie wierzcie więc bajce takiej,
Że niema szczęścia na świecie —
Żądajcie, szukajcie tylko:
Kwiaty paproci znajdziecie!!

Tadeusz Rogowski.

drówka. Pod górę podeszliśmy do »Polskiego domu«. Ogarnęło mnie uczucie rozrzewnienia, że o naszem imieniu i tu pamiętano — Uprzejmi Słowacy chcieli zrobić przyjemność Polakom, którzy bardzo licznie zwiedzają jaskinie.

»Chram Swobody« — (dom wolności) symbolizuje narodowe dążenia Słowaków.

Pozatem — nazwy zaczerpnęli z dziejów swego narodu, ze słownika wielkich nazwisk, z księgi wielkich zasług.

Więc jest tam grota Janosika — mitycznego niemal bohatera liptowskiej ziemi.

I dom Hvierdoslava, · może najbardziej przez Słowaków umiłowanego poety.

Pokazuje nam te wszystkie cuda młody Słowak. Mówi z wielkim zapałem. W głosie i geście ujawnia się przywiązanie do tego, co swoje, w oczach maluje się duma, że oto cudzoziemcy podziwiają niezwykłą osobliwość słowackiej ziemi.

— To tylko niewielka część — mówi Słowak na zakończenie — Blisko dziesięć kilometrów takich grot jeszcze nie udostępniono dla turystów. Są to tereny »dziewicze«, pełne wielowiekowej ciszy i pogrążone w zupełnej ciemności.

W dziwnem zamyśleniu stanęłam na malowniczej drodze Demanowskiej Doliny. Dokoła zieleń, drzewa. — Wdali pasmo Wysokich Tatr stwarza piękne tło krajobrazowe.

Pomimo przepychu barw i kształtów — jakże smutno było tam, pod ziemią, bez życia przyrody i dobrych promieni słońca...

Chcemy ciągle odczuwać dokoła siebie tętno życia — Niedobrze nam wśród nagich skał i głazów... *Zofja Karczewska.*



Fragment „Polskiego domu".



Demanowska dolina.



Pagoda w różowym domu.

Cisza południa.

Skwar.
Leżę na chłodnej trawie w cieniu
I chłonę w siebie ciszę letniego południa.
Po niebie płyną srebrzyste obłoki.
Jak dobrze mi... spokój jest we mnie.
Myśli leniwe... o czem?... nie wiem.
Dobrze mi jest, wtapiam się w ciszę...
Już nie wiem sama, czy cisza jest we mnie,
Czy ja jestem ciszą spowijającą wszystko.
Zatrzepotał się lekki wiaterek
I wstrząsnął kwiatem żółtej lnicy.
Ten kwiat — to ja, i ten lekki powiew to ja [także.
Jestem tu i tam, jestem wszędzie.
Jestem żołną i trzmielem,
Źdźbłem trawy i kroplą rosy.
Jestem powodzią słońca, które ogarnia sobą [wszystko.
Cisza jest we mnie i ja jestem ciszą,
Słodką ciszą letniego południa.

Jadwiga Bilwinówna.

WYWIAD U POETY E. KŁONIECKIEGO

Bawiąc chwilowo w Zakopanem, postanowiłam skorzystać ze sposobności i odwiedzić tak dobrze zresztą znanego Autora »Kwiatów młodości«. Obawiałam się, że nie mając bliższego adresu, trudno mi będzie odnaleźć poetę, ale — jak na szczęście — ni stąd ni zowąd — zjawił się jakiś mały ciceron z umorusaną buzią i śmiesznie zadartym noskiem, który wskazał mi siedzibę.

Kłoniecki mieszka w drewnianym domku pod Uboczą, nad Cichym Potokiem, zdala od gwaru i kurzu ulicznego, w obliczu niebosiężnych Tatr. Zastałam go przy pracy. Pisał. Obok na stole leżały liczne kartki papieru, niektóre już wypełnione i przygotowane do wysłania. Jedne do »Iskier«, inne do »Młodego Polaka« na Śląsk, a jeszcze inne do »Dziś i Jutra«, do »Małego Światka«, i t. p...

Między skryptami, w maleńkim kryształowym wazoniku tuliły się odurzając zapachem górskie goździki... Duża, słoneczna weranda, ocieniona dzikim chmielem i lubczykiem, z przecudnym widokiem na Giewont daje poecie — jak sam powiada — dużo zadowolenia, i tutaj w wolnych chwilach od pracy zawodowej, od belferki, o ile nie słabuje (a co się ostatnio często przytrafia) — pisze dla młodzieży. A pisze, trzeba wiedzieć, już sporo lat!..

Tuż, przy ganku, rozlega się raz po raz niefrasobliwy, wesoły chichot dzieciarni. To »trójka« najmłodszych latorośli poety, w beztrosce a swawoli wyprawia zabawne harce i skoki na łące przed domem, zażywając w pełni powietrza i słońca. Raz nawet czyjeś jasne, jak niebo, oczy spojrzały przez uchylone okno w moją stronę i dostrzegłam przelotny uśmiech na rumianym buziaku, lecz w tejże chwili główka się schowała, i tylko tupot bosych nóżek mówił wiele o płochliwości dziecięcej...

A tymczasem na werandzie z bajecznym widokiem na Kasprowy, toczyła się między nami serdeczna, przyjacielska rozmowa.

— A więc zadowolony pan z zamieszkania w górach? — zapytałam po chwili milczenia.

— Tak i nie! — odparł zagadnięty. — Góry mają w sobie coś tajemniczego! Są jak ten magnes! — dorzucił, zerknąwszy w ich stronę — i muszę przyznać, że pomimo, iż mieszkam tu od szeregu lat — z każdym dniem rozmiłowuję się w Tatrach coraz bardziej! A że tęsknię czasami za nizinami... za swoimi (tu głęboko westchnął), nie dziwota: bo tam...

— Ach! tak! — wtrąciłam. — Przypominam sobie doskonale ten pański wiersz, w którym było tyle tęsknoty i skargi:

... — *O, daj mi, Boże! pomimo troski,*
nim głowę złożę, wrócić do wioski;
do starej chaty, do przyzby onej
niegdyś przed laty w bzy przystrojonej —
i, snując w duszy wspomnienia wątek,
czekać z nadzieją Zielonych Świątek!!!..
(*„Świat się budzi"* — *Poezje, 1920 r.*)

Znów krótkie westchnienie i przelotne lekkie drgnienie powiek były całą odpowiedzią.

— ... I jeszcze jeden szczegół — jedna przyczyna — dodał po chwili. —

?!?

... Wprawdzie tam, u was na dolinach niema takich błogosławionych ultra—fjołkowych promieni słońca, jak tutaj, ale zato jest daleko więcej serc gorących, więcej uśmiechów duszy!... Więcej...

Chciał widocznie coś jeszcze dorzucić, lecz w tejże samej chwili rozmowę naszą przerwał nieopisany zgiełk i harmider kilku jaskółek, które, zataczając gwałtownie esy i floresy tuż przed werandą, kłóciły się zapamiętale o gniazdo, odebrane wróblom, czy też o pochwyconą w locie złotą pszczółkę z pobliskiej pasieki...

— Słyszałam, że podobno nosi się pan z zamiarem wydania nowego zbiorku wierszy? — zagadnęłam po chwili.

Narazie — nie! — odparł z uśmiechem. Pozostała mi jeszcze spora ilość tomików z ostatniego wydania i muszę czekać, aż te pójdą! A zresztą, o ile miałbym wydać coś nowego, to prozą...

— Pisze pan?

— Tak!

— Bajki?

— Nie! nowelę — i to dłuższą!...

— Więc stopniowe przejście! zauważyłam. — A temat?...

— Ot, taki sobie!... słoneczny!...

— Proszę domówić...

... — Ucieszne przygody Julka i Basi...

— Zapewnie w Tatrach?... podchwyciłam. Słodki uśmiech dwojga spłowiałych oczu z poza okularów w stronę gór, był jakby niemem potwierdzeniem, że jakże mogłoby być inaczej!...

A tymczasem chwile mijały szybko. Z łączki przed werandą dobiegał wciąż ten sam gwar rozbawionej dzieciarni i gędźba Cichego Potoku, który pierwej za głośno szumiał, a choć i dziś szumi jak drzewiej,

po burzy skały przewala —
nie słyszy człowiek i nie wie,
że obok toczy się fala...

— — — — — — — — —

Po herbatce i krótkiej jeszcze pogawędce z autorem »Kwiatów Młodości« i jego żoną — opuściłam słoneczny dom z widokiem na Giewont i Wierch Kasprowy, unosząc w duszy garść miłych i niezatartych wspomnień z odwiedzin u p. Kłonieckiego na Sobczakówce w Zakopanem, gdzie, (jak sam powiada), za ten widok, mój Boże!

z okien mych a podsienia —
nie jeden oddałby może
cząstkę swojego istnienia!...

Zakopane — w sierpniu 1934.

Władysława Dobrowolska.

Z PIERWSZEGO OBCHODU ŻNIWNEGO

Młodzież Powstańcza, to najaktywniejsza obecnie organizacja na Śląsku. Rodowód ideowy organizacji, to czyn kilkudziesięciotysięcznej armji, która wyzwoliwszy Śląsk z wiekowej niewoli, prowadzi dzieło zjednoczenia z Macierzą i dąży, by w pięknej tradycji powstańczej wychować całą młodzież śląską.

Wobec spotęgowanych wpływów hakaty i zastraszającego wzrostu bezrobocia, potrzeba tego rodzaju organizacji ujawniła się w całej pelni.

Ruch organizacyjny zainteresował całe społeczeństwo Śląskie, i zszeregował blisko stutysięczną armję gotową stanąć do służby państwowej.

Dowodem jedności ideowej, zespalającej serca i umysły członków poszczególnych organizacyj w wielką Rodzinę Powstańczą, są pierwsze »Dożynki Śląskie« Młodzieży Powtańczej w dn. 16 września b. r.

Tak pisze o obchodzie jedna z najbardziej nam wrogich gazet niemieckich: »Jeszcze nigdy miasto nie widziało takiej różności barw, błyszczących ozdób, powodzi kwiatów, jak wczoraj. Młodzież Powstańcza razem ze Związkiem Powstańców Śląskich, Towarzystwem Polek i Młodych Polek urządziły Dożynki Śląskie w Katowicach, skupiając delegacje rolnicze z całego Ślaska w charakterystycznych ludowych strojach. Na obchód Dożynek Młodzieży Powstańczej zjawił się cały Śląsk. W dniu tym zjechało się kilkanaście tysięcy osób, by zamanifestować przynależność swą do Macierzy i złożyć w hołdzie Włodarzowi ziemi śląskiej, Wojewodzie Dr. Grażyńskiemu dorobek prac całorocznych.

W słoneczny, pogodny dzień przesunął ulicami Katowic lśniący przepychem barw korowód. Całe Katowice wyległy, aby podziwiać niezwykłe zjawisko. Środkiem ulic ciągnął się niezmiernie długi, imponujący sprawnością organizacyjną pochód. Cały Śląsk mogłeś w nim zobaczyć: Górali z Istebnej, Wisły i Ustronia, Chorzowian i tych z Pszczyny, Tarnowskich Gór, okolic Katowic, Bielszowic i innych dzielnic śląskiej ziemi.

Na czele pochodu postępowała banderja konna, za nią przodownicy, a potem przewijały się różnobarwną wstęgą grupy regjonalne, grupy żniwiarzy, orkiestry, wozy ukwiecone, a na nich zobrazowane pory roku z odpowiadającemi im obrzędami ludowemi i scenami z życia Ślązaków. Tradycyjne, histo-

ryczne sztandary trzepotały wesoło, armatka zachowana z czasów powstańczych grzmiała na wiwat, złote chochoły chwiały się w powietrzu — a wszystko barwne, swojskie i naturalne, bez sztucznej reżyserji.

Tysiące ludzi przesunęło się przed Gospodarzem — Wojewodą, wiwatując na jego cześć i obsypując go kwiatami. Niemniej imponująco wypadła część właściwa obchodu żniwnego — obrzęd dożynkowy, który miał miejsce na boisku Pogoni w Katowicach. — Tu goście rozłożywszy się obozowiskiem spożyli obiad przygotowany staraniem Towarzystwa Polek.

O godzinie 3-ciej przybywa poprzedzany banderją konną Dostojny Gospodarz. Wita Go przewodniczący Woj. Kom. Doż. Prezes Zarządu głównego O. M. P. Pan W. Sala.

Rozlegają się tony nastrojowego Hymnu Powstańczego. Przy dźwiękach melodji wyłania się fura dożynkowa, a na niej para przodowników z artystycznie uwitym wieńcem dla Gospodarza.. Przeszło sto par żniwiarzy śpiewało pieśni dożynkowe. Przodownik w imieniu młodego pokolenia dał wyraz patrjotycznych uczuć i zwracając się w serdecznych słowach do Pana Wojewody, ślubował ofiarną pracę obywatelską dla Polski.

W odpowiedzi na słowa hołdu, Gospodarz Śląska zachęcił młodzież do pielęgnowania staropolskich tradycyj i obrzędów i do wytrwałej pracy, gdyż każdy Ślązak, jako gospodarz i pan ziemi śląskiej, powinien pamiętać, iż jest odpowiedzialny za ukształtowanie losów państwa. Podniosłe swe przemówienie zakończył Pan Wojewoda wezwaniem: »Budujcie wytrwale potęgę moralną, kulturalną i gospodarczą Państwa Polskiego!«

Miłą niespodzianką było zjawienie się delegacji Polaków z Czechosłowacji, która złożyła u stóp gospodarza wieniec z kłosów.

Poczem nastąpiły tańce, przyśpiewki do Gospodarza oraz inscenizowana apoteoza pracy ludu śląskiego, która wywarła silne wrażenie na uczestnikach uroczystości.

Zabawa przeciągnęła się do późnego wieczora. Wreszcie zamilkł śpiew weselny, nie zamilkły jednak serca pobudzone do intenzywniejszego życia, do czynniejszej pracy dla przyszłości Mocarstwowej Polski. *W. S.*

Sprawa mniejszości narodowych na forum Ligi Narodów

Sprawą, która – obok Challenge'u – najżywiej poruszyła społeczeństwo polskie w ciągu ostatniego miesiąca, było głośne wystąpienie ministra Becka na forum Zgromadzenia Ligi Narodów dnia 13 września.

Za pośrednictwem min. Becka Rząd polski wystąpił z wnioskiem formalnym rozciągnięcia zobowiązań o ochronie mniejszości na wszystkie państwa, czyli t. zw. generalizacji zobowiązań mniejszościowych.

Po odzyskaniu niepodległości Polska znalazła się w grupie państw, zmuszonych do podpisania traktatu, na mocy którego zapewnia daleko idącą opiekę mniejszościom na swojem terytorjum. Przyjęcie treści tego traktatu nie było dla Polski niczem przykrem ani nowem. Wszakże od wieków państwo nasze stosowało szeroko pojętą zasadę tolerancji, i jedyny fakt usunięcia z Polski garstki arjan, znienawidzonych za łączenie się ze Szwedami, nie może w żadnym razie osłabić siły dowodów, stwierdzających odwieczną swobodę mniejszości niemieckiej, ruskiej czy innych. Wierna tradycji historycznej Polska Odrodzona z pewnością nie zamierzała zmieniać w niczem polityki swojej w tym względzie. Niemniej słusznem jest twierdzenie dyplomatów polskich, że podpisanie traktatu o mniejszościach, zezwalającego na ingerencję państw innych w tej dziedzinie życia polskiego, w wysokim stopniu obraża naszą dumę narodową.

Na istnienie traktatu tego rodzaju mogliśmy jeszcze i musieliśmy się zgodzić w okresie budowania nowej państwowości, faktycznie jednak powinien był utracić moc obowiązującą z chwilą wejścia w życie Konstytucji Rzpltej Polskiej w r. 1921, kiedy Polska sama zapewniła pełne prawa obywatelom swym reprezentującym mniejszość.

Sprawa ta była już w Genewie poruszana parokrotnie, nigdy jednak nie została przedstawiona w formie tak stanowczej. Minister Beck wyszedł z założenia, że z gruntu niesłusznym jest podział państw współczesnych na grupy wyższej i niższej kategorji — i pozostawienie jednym pełnej suwerenności w rozstrzyganiu spraw wewnętrznych, a poddanie innych ingerencji państw obcych.

Z wyjątkiem paru zaledwie państw europejskich, wszędzie kwestja mniejszościowa istnieje, chociaż w niektórych chętnie się o tem zapomina. Niedopuszczalne jest istnienie dwóch kategoryj mniejszości – chronionych przez traktaty międzynarodowe i niechronionych. Podobnie jak przeciwny zasadom sprawiedliwości i słuszności jest podział państw zasadniczo równych na grupy — obcią-

żonych i nieobciążonych zobowiązaniami mniejszościowemi.

Ten stan rzeczy musi wywołać wrażenie zadraśnięcia dumy narodowej i poczucie upokorzenia, — a w dalszej konsekwencji protesty ze strony państw upośledzonych, widzących w tem dowód nieufności wielkich mocarstw do ich urządzeń wewnętrznych.

Wyjście z tej sytuacji może być dwojakie: albo całkowite zniesienie zobowiązań mniejszościowych, albo ich generalizacja. Rząd polski stawia wniosek formalny o generalizację. Żadne z państw reprezentowanych w Lidze Narodów nie zapewniło swoim mniejszościom więcej praw, niż to uczyniła Polska. Dając pewną ochronę mniejszości na mocy własnej konstytucji, Polska czuje się najzupełniej uprawnioną do wysunięcia tego rodzaju wniosku. Ewentualnym wyjściem z sytuacji mogłoby być powstanie szeregu traktatów międzypaństwowych, opartych na zasadzie wzajemności. W każdym razie zagadnienie jest palące i wymaga szybkiego rozwiązania. Rząd polski proponuje zwołać w tej sprawie konferencję międzynarodową i stwierdza konieczność zawarcia konwencji o ochronie mniejszości.

Mowa min. Becka wywołała zrozumiałe wrażenie, a poniekąd nawet oburzenie wśród obecnych. Wobec poważnych głosów sprzeciwu, min. Beck wygłosił imieniem Rządu polskiego deklarację, w której zaznaczył, że interesy mniejszości będą w Polsce nadal chronione jak dotychczas, ale tylko przez ustawy polskie, natomiast do czasu rozciągnięcia zobowiązań mniejszościowych na wszystkie inne mocarstwa, Rząd polski wstrzymuje się od wszelkiej współpracy z t. zw. kontrolą międzynarodową tych traktatów.

Wniosek polski wywołał ożywioną dyskusję zarówno na Zgromadzeniu Ligi Narodów, jak i w Komisji Politycznej (VI), gdzie przedstawił go min. Raczyński. Wobec stanowczej opozycji zwłaszcza ze strony Francji, Anglji i Włoch, projekt generalizacji traktatów mniejszościowych nie miał szans uzyskania dodatniego wyniku w głosowaniu, wobec czego został wycofany. Nie odwołano jednak deklaracji min Becka. W praktyce oznacza to, że każdy członek Rady Ligi Narodów może nadal na podstawie słynnego artykułu 12-go zwracać uwagę Rady na „naruszenie lub niebezpieczeństwo naruszenia traktatu mniejszościowego". Sekretarjat nadal może być zarzucany papierowemi skargami niepowołanych adwokatów mniejszościowych. Komitety i eksperci mogą roztrząsać petycje. Polska jednak ani w obradach tych nie weźmie czynnego udziału, ani uwag swych na pisma ligowe nie przedłoży, ani żadnych kompromisowych deklaracyj przyjmować i rozważać nie będzie. A stanowisko Polski ma w tym wypadku bardzo poważne znaczenie, sprzeciw bowiem jednego członka Rady powoduje upadek każdego wniosku, a zatem „bierny opór" Polski naraża procedurę mniejszościową na zupełną bezużyteczność.

Polska wypowiedziała się bardzo stanowczo, a jest już dziś potęgą, z którą inne państwa muszą się liczyć. Wysunęła zresztą zasadę bardzo słuszną, a entuzjazm społeczeństwa polskiego w dniach wrześniowych dowodził najlepiej ścisłej łączności ogółu obywateli ze stanowiskiem Rządu w tej sprawie.

Marja Traczewska.

Wejście Rosji do Ligi Narodów

We wtorek 18 września b. r. w drzwiach przepełnionej sali Zgromadzenia Ligi Narodów stanęli trzej szaro ubrani mężczyźni. Nazwiska: Litwinow, Patiomkin, Stein. Wchodzą do sali obrad i zajmują miejsca przeznaczone dla delegacji państwa nowoprzyjętego w skład Ligi. Fakt pozornie błahy, a może w najpoważniejsze następstwa brzemienny. W osobach ich na salę genewską weszła — Rosja Sowiecka.

Fakt zastanawiający. Kapitalistyczna Liga otwiera podwoje na przyjęcie państwa o charakterze wyraźnie antykapitalistycznym. Jest wprawdzie pewien sprzeciw, ale sprzeciw słaby. Szwajcarja, Belgja i Holandja nie przegłosują potężnych mocarstw Europy, które sprawę całą zainicjowały; nie przeciwważą siły 34 państw, co podpisały zaproszenie Rosji do Ligi Narodów; stanowią znikomą mniejszość wobec 39 głosów, które zadecydowały ostatecznie o jej przyjęciu. Ale niedosyć na tem, że Rosja Sowiecka staje się członkiem Ligi. 30 głosów, na ogólną liczbę 40 przy 10 wstrzymujących się od głosowania, pada za przyznaniem jej stałego miejsca w Radzie Ligi. Ani jednego sprzeciwu. Sprawa jest zdecydowana. Szaro ubrani panowie zajmują przeznaczone sobie miejsca.

Jak się to stało? W czyim interesie leżała taka koncepcja polityczna? I co przyniesie Europie i całej ludzkości?

W każdym razie fakt wysoce znamienny. Europa zdejmuje z Rosji ciążącą na niej kondemnatę i dopuszcza ją do współpracy z resztą świata na prawach równych z największemi mocarstwami. Europa wyraźnie chce współpracy z Sowietami. Skądinąd ostatnie wydarzenia na terenie obrad genewskich oznaczają zasadniczy zwrot w polityce Rosji Sowieckiej. Dotychczas bolszewicy nietylko nie chcieli żadnego kontaktu z resztą świata, ale na wszystkich dostępnych sobie terenach prowadzili bojową propagandę swojej ideologji, z przypuszczalnym zamiarem wywołania powszechnej rewolucji. Stając się członkiem Ligi Narodów, Rosja dobrowolnie przyjmuje jej statut, a temsamem zobowiązuje się do lojalnej współpracy pokojowej z wszystkimi jej członkami. Wszelkie próby półurzędowego chociażby popierania zamachów komunistycznych w innych państwach mogą być zaskarżone przed

forum Ligi Narodów, jako dowody naruszenia jej statutu.

Powody tych zasadniczych zmian w orjentacji Sowietów leżą przedewszystkiem w zagadnieniach polityki międzynarodowej doby obecnej. Po dojściu do władzy Hitlera Rosja zrozumiała, że sojusz jej z Niemcami nie gwarantuje żadnej trwałości. Natomiast osamotnienie państwa w obecnych warunkach powoduje utratę wszelkich wpływów na rozwój i układ stosunków międzynarodowych. Skoro nawet potężna W. Brytanja odstąpiła dzisiaj od słynnej swej zasady „splendid isolation", tembardziej nie może się na niej oprzeć słabsza gospodarczo Rosja. Wchodząc do Ligi Narodów ZSRR daje innym państwom pewne gwarancje, a tem samem może osiągnąć przywrócenie prawdziwie pokojowych stosunków oraz znormalizowanie wymiany handlowej i ewentualne osiągnięcie wydatnych kredytów. Chwila obecna jest dla sprawy realizacji tych planów tem dogodniejsza, że nawiązanie stosunków z Sowietami leży w interesie całego szeregu państw, a zwłaszcza Francji, dla której jest poprostu zasadniczym postulatem politycznym.

Wejście Rosji do Ligi poprzedziły długie i żmudne rokowania zakulisowe — i dłuższa dyskusja zarówno komisji jak i na plenum Zgromadzenia. Sprawa została załatwiona po stwierdzeniu przez ZSRR, że „zobowiązuje się do przestrzegania wszystkich zobowiązań międzynarodowych i wszystkich decyzyj, mających dla członków charakter obowiązujący". Poczyniono wprawdzie pewne zastrzeżenia. Premjer irlandzki de Valera przemawiał gorąco na temat konieczności stosowania przez rząd sowiecki zasady tolerancji religijnej w stosunku do poddanych. Ale i przedstawiciele ZSRR ze swojej strony dali do zrozumienia, że mają własne plany polityczne, które postarają się bezwzględnie przeprowadzić — zwłaszcza w odniesieniu do opracowywanego wciągu lat ostatnich paktu do traktatu Briand-Kellog. Pakt ten powinien być — zdaniem Sowietów — opracowany w jak najkrótszym czasie, z aktu jego usunąć należy t. zw. „wojnę legalną", a „procedury arbitrażowe i rządowe nie mogą w żadnym wypadku mieć zastosowania do sporów powstałych przed przyjęciem Sowietów do Ligi". A zatem obie strony czynią zastrzeżenia. Mimo to Rosja Sowiecka jest już dzisiaj członkiem Rady Ligi. Przekonano się, że współpraca Rosji z organizacją genewską jest koniecznością. Zresztą poprzednio już, mimo braku oficjalnego uznania państwa sowieckiego, niejednokrotnie niezbędnym był udział Rosji w poszczególnych organach Ligi. W r. 1927 ZSRR uczestniczy w pracach przygotowawczej Komisji rozbrojeniowej, w r. 1931 — w Briandowskiej Komisji Studjów nad Związkiem Europejskim, od r. 1932 — w Konferencji Rozbrojeniowej. Mimo wzajemnych zastrzeżeń i krytyki ze strony Ligi Narodów i Rosji, współpraca stawała się faktycznie coraz bliższa. Obecnie stosunek ten uregulowano formalnie.

Czy rezultaty współpracy zrealizują nadzieje stron obu — przyszłość okaże.

Marja Traczewska.

KADECI

»Słoń« ma zmartwienie! »Słoń« jest smutny! — Wiecie, »Słoń« spuścił trąbę na kwintę«. — Te i tym podobne okrzyki można było wyróżnić wśród nieopisanego hałasu, jaki panował na boisku Korpusu Kadetów. »Nie bajaj, bo sam widziałem, jak wczoraj na defiladzie Marylka śmiała się do niego i wiem, że wieczorem z nadmiaru szczęścia do północy wzdychał do księżyca«.

Ale tymczasem »Słoń« był naprawdę smutny. Czuł doskonale, że jeżeli go »wyleją« z Korpusu, to miłość Marylki pryśnie, jak bańka mydlana, a właśnie ta ewentualność stawała w całej swej grozie przed oczyma biednego kadeciny.

Chwilami złość go brała: »Co to wszystkich obchodzi, że się nie uczy, że jest leniuch, że miał cztery dwóje na ostatniej konferencji?! Co to kogo wzrusza, że lubi nocą czmychnąć sobie do parku?! Pewien jest, że i ten »cerber« — porucznik nie oparłby się pokusie, gdyby chciał spróbować, co to za szalona przyjemność wywieść w pole chociażby takiego wygę jak on«.

Ale po chwili »szlachetnego« oburzenia czuł się znowu biednym kadecikiem z IV kompanji, a wspomnienie rannej wizyty u Dowódcy wywoływało roje czarnych myśli.

»Pójdę do »Goryla« — postanowił — on poratuje«.

Rysiek, dla »pięknego« oblicza zwany »Gorylem«, siedział na oknie II-go piętra i spuściwszy nogi nazewnątrz gwizdał zapamiętale. Ujrzawszy zafrasowanie i smutek »Słonia«, przerzucił jedną nogę i usiadłszy konno na futrynie okna, patrzał badawczo w twarz kolegi.

»Marylka cię zdradziła czy co? Możeś chory, to idź do szpitala, prześpisz się i na zadaniu francuskiem nie będziesz«. — Ale »Słoń« pogardliwie machnął ręką.

»Wylać mnie chcą! Dziś Pułkownik powiedział, że jeżeli się nie poprawię, to mię wyrzuci, że całe grono o to prosiło... A wtedy wiesz, z Marylką szlus!«

Dobre, szare oczy Ryśka spoglądały teraz na »Słonia« z wyrazem zatroskania. — No »Słoniu«... może ja coś wymyślę...« — Zapatrzył się przez chwilę wdal i nagle twarz jego rozjaśniła się:

»Morowo! Słuchaj »Słoniu«, wszystko będzie dobrze, tylko jeden warunek: zrobisz, co ci każę«.

Wieczorem w sypialni, po zgaszeniu światła, Rysiek wpakował się na łóżko kolegi i objąwszy go wpół, szeptał do ucha: »Od jutra weźmiemy się razem do nauki!— I pamiętaj »Słoniu«, siedź cicho na lekcji! O resztę nie dbaj, to moja rzecz«.

Rozpoczęło się »kucie«. Dzień w dzień zaszywali się z Ryśkiem w kąt korytarza i nauka trwała do późnej nocy.

»Słoń«, fenomenalnie zdolny chłopak, wprawiał w podziw Profesorów. Zachowanie jego było niemal bez zarzutu, o ile nie weźmiemy pod uwagę, że w międzyczasie zastrzelił z floweru kota Pułkownikowej i niechcący, bo oparłszy się o drzwi czytelni, wysadził je z zawiasów.

A Ryś tymczasem nie próżnował. Po kilku dniach rozpoczął swoją wędrówkę. Chodził od profesora do profesora i prosił uprzejmie się uśmiechając: »Panie Kapitanie, mam wielką prośbę do Pana. Proszę powiedzieć na konferencji, że Jaworski (»Słoń«) u Pana Kapitana na lekcji jest grzeczny, że się poprawił, że jest pilny«.

Profesorowie lubili »Goryla« za jego nieposzlakowaną prawość i choć Ryś nieraz zapadał na ogólną chorobę lenistwa, zwłaszcza w jesieni i na wiosnę, kiedy park oblany tajemniczem światłem księżyca stawał się nieprzezwyciężoną pokusą—szanowali chłopca i chętnie czynili zadość jego prośbom. Więc sprawa »Słonia« miała wszelkie szanse powodzenia.

»Dobrze, powiem — brzmiała zwykle odpowiedź — byleby się nie popsuł do konferencji«. Wówczas Rysiek uśmiechał się jeszcze uprzejmiej i na odchodnem, niby odniechcenia, dorzucał: »Proszę tylko o jedno jeszcze: by Pan Kapitan był łaskaw nie wspominać nic o naszej rozmowie«.

Zbliżało się półrocze, a z niem upragnione Święta Bożego Narodzenia.

»Konferencja klasyfikacyjna Kompanji IV i V odbędzie się dnia 19 grudnia b. r. o godz. 4-tej po południu« — informowała księga ogłoszeń.

Serce »Słonia« mocno biło, gdy nerwowym krokiem przechadzał się po korytarzu, przed drzwiami sali, gdzie ważyły się jego losy.

Jakież zdziwienie było Dowódcy Korpusu, gdy całe grono jednogłośnie orzekło, że Jaworski stara się, jest pilny, pracowity, że jego postępy w nauce są zdumiewające, a zachowanie nie pozostawia nic do życzenia.

»Słoń« ujrzawszy świadectwo półroczne bez dwój i z dwoma zaledwie dostatecznemi, z bardzo dobrem zachowaniem, omal nie udusił »Goryla« w swych potężnych ramionach.

Tego dnia pierwszy raz od wielu tygodni usnął spokojnie, a z ciemności uśmiechała się do niego słodka twarz Marylki.

S. M.

Ból.

W gardle mi utkwił ból,
Taki sobie człowieczy ból.
Z za rogów kamienic patrzą na mnie oczy:
Oczy dziecięce bez wyrazu,
Oczy dziecięce smutne i bolesne
Dzieci, co nigdy się nie śmieją.
To dzieci nędzy.

No więc cóż,
Że nigdy się nie śmieją?
No więc cóż?
W gardle mi utkwił
Taki sobie człowieczy ból
I dławi.

Jadwiga Bilwinówna.

Kwiaty.

W więzieniu
kryształowego wazonu
więdnące kwiaty
z pochyloną szyjką
coraz krótszymi łykami
niechętnie piją
mętną wodę,
zmieszaną z własną krwią.
Początek zgonu —
rozkłada się tkanek siatka —
ale mdlejące głowy
wciąż jeszcze wonieją ogrodem
i mrą,
piękno życia głosząc do ostatka.

Zamek z bajki.

O tylko zamknąć powieki,
dniom zgiełk i zamęt odebrać —
na szklanej górze dalekiej
lśni zamek z mgły i ze srebra.

W walce, co wciąż się nierówno
toczy na śmierci krawędzi,
on ciągnie, jak dzika północ
stada samotnych łabędzi.

Opuszcza się rozgwar domu,
biegnie się, — idzie zostrożna.
Dąży się doń pokryjomu —
i żyć bez niego nie można.

Gnieźnieńska.

Masyw katedry zbiera się od dołu
twardo, statecznie, początkiem mozołu — —
Skarpą podpiera myśl, co w trwodze błędów
waha się, waży, aż siłą rozpędu
wzniesie się chyżej i wybiegnie śmielej,
by nieomylnie począć się weselić
łukami sklepień, jak lotkami skrzydeł.
Wysiłek przestał wołać swoje: »idę« — —
już go nie słychać — lotnej myśli wzorem
dąży ku górze zamieniony w poryw —
A gdy się zamknie sam w nieuchwytnych brzegach,
zwycięża siebie, wieżami wybiega — —
na chmur jesiennych ciężkich fijoletach
kładąc znak krzyża, swój ostatni etap.
I oto stoi nad wielką równiną
mozoł i poryw, co stał się świątynią.

M. Czerkawska.

Jutro

dział samodzielnie przez młodzież redagowany

JEDZIEMY DO JEZIOR

Zochna jak bomba wpada do klasy. Staje na katedrze i rozradowana woła: „Koleżanki, cicho! no, cicho! cicho! Coś wam powiem!" Nawoływania poparte „waleniem" dziennika o katedrę spowodowały upragnioną ciszę. „Wiecie, — mówi Zocha, jutro będzie wycieczka do jezior: Świętego i Lutoborskiego. Mam spisać te, które jadą! „Cały gips" t. j. koszta wynoszą tylko 60 gr. Myślę, że możemy się na tyłe zdobyć".

Cudownie! Świetnie! Morowo! rozległy się zewsząd głosy „Zocho! zapisz mnie! I mnie, ja też jadę! Nie zapomnij o mnie! — „Dobrze, dobrze, tylko tak nie „wrzeszczcie", bo aż w uszach dzwoni! Ale słuchajcie! jutro dwie pierwsze lekcje są, dopiero na 3-ej, t. j. o 10-ej godzinie wychodzimy z budy". — „Dobrze, niech będą, tylko nie myśl, moja droga, że się ich nauczę! — zawołała Krycha.

— A „prowijantów" przynieście dużo — krzyknęła wiecznie głodna Hanka. To polecenie przyjęłyśmy wybuchem śmiechu i docinkami.

W kilka minut potem klasa opustoszała. Przychodnie poszły do domu, a pensjonarki na obiad. Nazajutrz zjawiłyśmy się z licznemi pakunkami, a że wszyscy znali dobrze naszą zasadę, aby teczek nie przeciążać zbytecznie książkami, więc odrazu stało się jasnem: „Napewno mają wycieczkę".

Hanka chodziła między ławkami i zaglądając do teczek, pytała: „Co ty masz?" — A ty co?" — spytałam nawzajem. Z dumą pokazała dwa łokcie kiełbasy i pudło pomadek. Pokiwałam głową z uznaniem nad widocznemi i ukrytemi skarbami.

Pierwsze dwie lekcje przeszły szybko. Rozradowane, poszłyśmy na stację. Tam z niecierpliwością czekałyśmy na pociąg. Wreszcie fukając groźnie wpada straszliwy potwór na peron. Z wesołemi okrzykami usadowiłyśmy się w wagonie. Pociąg rusza. Odmawiamy „Pod Twoją obronę", a potem, ponieważ to sobota, śpiewamy z zapałem „Chwalcie łąki umajone". Po kwadransie jazdy, nasz dobry smok stanął. Na przystanku czekał już na nas umajony zielenią, drabiniasty wóz. Kiedy wyjechałyśmy za Czerniewice zaczęłyśmy bajać, śpiewać, gadać, a bardziej łakome zaglądały już do swoich paczek. Po drodze widziałyśmy dwa wspaniałe, stare dęby. O dęby, czegobyście nam nie opowiedziały, gdybyście mówić umiały!

Przy jeziorze Świętem stoi wiatrak. Pod jego opiekuńczemi skrzydłami schroniłyśmy się na odpoczynek i na... skonsumowanie zapasów. Z wzniesienia spoglądałyśmy na jezioro Święte. Okrągłe, wielkości dwóch mórg, o brzegach torfiastych. Dowiedziałyśmy się, że środek mniej głęboki niż brzegi, które są poprostu przepastną głębiną.

Lala opowiedziała nam legendę o tem jeziorze. Tu, w miejscu, gdzie rozlewa swe wody jezioro, stał kościół. Napróżno dzwony codziennie wzywały wiernych na modlitwę. Ludzie swą bezbożnością spowodowali, iż kościół się zapadł. Teraz na jego miejscu szemrzą fale. Rok rocznie w święto Wielkanocy dzwonią żałośnie dzwony w zatopionym kościele. Pewnego razu dziewczynka-sierota siadła nad wodą. Na powiechrzni jeziora, tuż u stóp dziewczyny pływała swobodnie czerwona niteczka. Chwyciła ją i nawijać poczęła na kamyczek. Patrzy, a na środku jeziora wyłania się... wieża. Przestraszona, rzuciła kamyczek z czerwoną niteczką i wieża kościelna skryła się napowrót pod błękitem wód. *Zakończenie na str. 48.*

BURSZTYNOWE WYBRZEŻE

Wycieczka popularnym pociągiem nad morze. Któżby się oparł pokusie, aby za cenę kilkunastu złotych nie pojechać nad Bałtyk, odetchnąć bodaj przez dwa dni ożywczem morskiem powietrzem?

Pochmurne południe: rzesze wycieczkowców dążą na dworzec. Na peronie ścisk, tłum, atmosfera pośpiechu. Kwadrans po pierwszej — Rozlega się przeciągły gwizd konduktora, słychać suchy trzask pospiesznie zamykanych drzwiczek wagonow i pociąg rusza majestatycznie.

Powiewają na peronie chusteczki i kapelusze tych, którzy pozostali, odpowiadają im białe chusteczki, jak motyle trzepocące się w oknach wagonów.

Jeszcze chwila, a postacie odprowadzających maleją do mikroskopijnych rozmiarów i nikną na pierwszym zakręcie.

*

W przedziale już wszyscy się znają. Odnajduje się znajomych rozproszonych w piętnastu wagonach. Czeka nas siedmnaście godzin jazdy, chociaż pociąg pędzi chyżo i zatrzymuje się bardzo rzadko. Rozmawiając obserwujemy okolicę, mało zresztą urozmaiconą. Na Śląsku przejeżdżamy koło wielkich hałd węglowych, a obok nich, jakby dla kontrastu widnieją ogródki działkowe pełne warzyw i kwiecia.



Gdynia port.



Gdynia — Dar Pomorza.

*

Na terenie Wielkopolski uderza nas widok wielkiej ilości maszyn rolniczych, tak rzadko spotykanych u nas w Małopolsce. Domy mieszkalne murowane i bardzo czyste. Od czasu do czasu sterczy na równinie wiatrak, dodający kralobrazowi malowniczości.

*

Noc. W przedziałach liljowe światło — znak, że członkowie wycieczki śpią. Na korytarzach bardziej odporni gwarzą sennemi głosami lub podziwiają w milczeniu jeziora połyskujące jak srebrne zwierciadła w blaskach księżyca. Jesteśmy przecież w Szwajcarji kaszubskiej. — I dalej długa noc...

Wreszcie dojeżdżamy do celu podróży. Na horyzoncie widnieje biały pas morza skrzącego się w promieniach powstającego słoń-



Hel.

ca. Coraz bliżej — już widać okręty kołyszące się na niezmierzonej toni. Jeszcze chwila i jesteśmy w Gdyni.

Gdynia, to najmłodsze miasto Europy, »benjaminek« Polski, jej klejnot i chwała, bogactwo i potęga. Tam, gdzie jeszcze przed ośmiu laty ciągnęły się lotne piaski i moczary, powstało nowoczesne, europejskie miasto, o cudownie czystych, szerokich i prostych, ozdobionych skwerami ulicach.

Gdzie ośm lat temu stały rozrzucone tu i ówdzie chaty rybackie, dziś piętrzą się dumnie wspaniałe budowle.

Przestrzenie niegdyś w nocy oświetlane światłem księżycowem, na których hulał tylko wicher, obecnie zaopatrzone w nowoczesne urządzenia techniczne, oświetlone wielkiemi łukowemi lampami, imponują cudzoziemcom, wzbudzają dumę i radość w sercu Polaka.

Wybrzeże przed kilku zaledwie laty będące w posiadaniu dumnego żywiołu, dziś pyszni się wspaniałemi basenami służącemi za przystań największym okrętom, urządzeniami, które są wyrazem najbardziej nowoczesnej techniki.

Gdynia to poemat z żelaza i betonu obrazujący siłę i moc narodu.

*

W pierwszym dniu pobytu — wycieczka na Hel. Wsiadamy na spacerowy statek. Upał. Niebo białe, jakby przysłonięte cienką gazą. Morze spokojne i równie białe. Za nami pozostają długie szyje dźwigów i lśniące w blaskach dnia bloki gdyńskie. Przed nami przestrzeń morza — nieskończona, głęboka.—

Jesteśmy wreszcie na Helu. Długie molo ostro wrzynające się w morze i port rybacki. Cała flotylla kutrów i łodzi. Gdzieniegdzie elegancki jacht połyskuje białemi żaglami.

Kierujemy się na wybrzeże ciągnące się już nad pełnem morzem. Droga prowadzi przez wieś z domkami rybaków w stylu holenderskim, stojącemi po obu stronach gościńca. Następnie wchodzimy do lasku sosnowego, mijamy latarnię morską i oto jesteśmy na cudnej piaszczystej plaży.

Morze ma dziś kolor błękitu. Niewielkie fale przystrojone w białe kryzy pian biegną do brzegu, aby musnąwszy sypki piasek cofnąć się i powrócić tu za chwilę.



Gdańsk — Motława — widok na stary żóraw.

Wsiadam do kajaka z jednym z towarzyszów wycieczki. Odpływam od brzegu na kilkadziesiąt metrów. Morze kołysze lekko drobną łupinę-kajak, a wiatr muska nasze twarze rozgrzane słońcem. Co chwila kilka mew przelatuje koło nas kąpiąc się w morzu. Nie rozmawiamy. Jest cicho. Prócz krzyku mew i dalekiego szumu fal rozbijających się o brzeg nic nie słychać. Czuję w tej ciszy i w tym błękicie nas otaczającym całe piękno morza, jego nieskończoność, potęgę i poezję. Czuję, że je kocham.

Zbliża się wieczór. Wracamy do Gdyni. Czerwona kula słońca topi się w głębinach wód. Miasto zaczyna świecić niezliczoną ilością lamp. Na Kamiennej Górze błyszczy oświetlony krzyż. Z nad granatowo-srebrnego morza dolatuje orzeźwiający powiew wiatru.

— W drugim dniu zwiedzamy nasz polski nowoczesny port. W przystani stoją okręty wszystkich państw bałtyckich, prócz tego angielskie, greckie, włoskie.

W porcie wre praca. Dźwigi majestatycznie przeładowują polski węgiel na obce okręty.

W porcie wojennym czuwają łodzie podwodne i kontrtorpedowce lśniące w słońcu powierzchnią swych metalowych kadłubów. A u wejścia do portu śliczny, ogromny trójmasztowiec: »Dar Pomorza«.

W południe wycieczka do Gdańska. Przejeżdżając statkiem koło polskich placówek, zamieniamy pozdrowienia z Polakami, którzy tu pracują.

I wtedy budzi się myśl, że przecież to wszystko powinno być własnością Polski, że do tego mamy wiekowe prawo historyczne i gospodarcze.

Jedziemy Motławą, po obu brzegach której stoją stare, średniowieczne domy, spichrze zbożowe, a wśród nich, drewniany żóraw. Wysiadamy, aby zagłębić się w labirynt wąskich uliczek. Na samym początku miła niespodzianka, jakiś staruszek pozdrawia nas tradycyjnem: »niech będzie pochwalony«. Jak przyjemnie spotkać Polaka wśród tego morza niemczyzny.

Po obejściu cennych zabytków, wśród których b. wiele należy do przeszłości Polski, a które władze gdańskie usuwają konsekwentnie i stale, udajemy się do Domu Polskiego na obiad. Jeszcze chwila i wracamy na statek.

I znowu jesteśmy w Gdyni. Żegnamy morze, nasze morze. Pociąg już czeka. Odjeżdżamy. Serca zostają tu nad Bałtykiem, na tem cudnem bursztynowem wybrzeżu i niejeden napewno »szczur lądowy« przyrzeka sobie, że nie pozwoli nigdy na odebranie tej naszej odwiecznej własności i że tu jeszcze nieraz powróci. *Iza Szymusikówna.*

Słuchałyśmy Lali z zainteresowaniem. Nawet Hanka rzuciła swoją dwułokciową kiełbasę i apetyczne bułeczki. Zeszłyśmy nad jezioro i... niejedna z nas wypatrywała ukradkiem czerwonej niteczki.

Po wypoczynku poszłyśmy pieszo do oddalonego o 1 km. jez. Lutoborskiego. Kształt tego był inny. Rynnowe, pochodzenia lodowcowego, o szer. 200 m., obwodu miało 5 km. Szłyśmy wysokim brzegiem. Wkoło nas rozciągał się cudowny widok. Z lewej strony las nęcił chłodem i świeżą zielenią, a z prawej, tuż u naszych stóp nadole, szemrało cudne, mieniące się w słońcu jezioro. Powierzchnia jego marszczyła się w drobne fale, stroiła się w niebieskość, i błysk promyków słonecznych.

— — — — — — — — — — — —

Odpoczynek! Zrzucamy szybko skarpetki, pantofle i z okrzykami radości, brodzimy w wodzie. Jaka czysta i ciepła! Gonimy się, rozpryskujemy tęczowe kropelki, śpiewamy, lub zaczaiwszy się, nadaremnie próbujemy schwycić malutkie rybki, które podpływają do naszych dłoni.

Po godzinnym postoju ruszamy dalej. Pospieszamy na podwieczorek do gościnnych rodziców naszej koleżanki. Robimy zdjęcia, rozmawiamy z domownikami, spacerujemy i z dumą pokazujemy jedna drugiej swoją opaleniznę. Podwieczorek! Idziemy wesoło na werandę. Mrożone mleko, masło świeże, wiejski chleb! „Pycha“! Postępujemy podług tej przemądrej maksymy: „Co na stole, to nieprzyjaciel“. A potem lody... Naturalnie nie trzeba dodawać, że z tych i śladu nie pozostało.

Ponieważ za pół godziny mamy pociąg, żegnamy się, dziękujemy za podwieczorek i ze śpiewem ruszamy drabiniastym wozem na stację. Czwórka koni idzie tęgiego kłusa, wóz podskakuje... a my radujemy się z tej „morowej“ wycieczki, z naszej promiennej młodości. I tej garstce dziewczątek wydaje się w tej chwili, że jedzie na podbój świata, jedzie z młodzieńczą siłą i zapałem, której jeszcze nic i nikt w świecie się nie oparł. *Ineza. Gim. żeń. w Wocławku.*

Międzynarodowy Kongres wychowania moralnego

W pierwszych dniach września Kraków, a szczególnie mury Uniwersytetu Jagiellońskiego były silnie zelektryzowane.

Sekretarjat VI Kongresu moralnego pracował sprężyście pod egidą prof. Heitzmana. Do pomocy w pracach stanęli akademicy, lecz przedewszystkiem akademiczki budziły podziw swojem opanowaniem, uprzejmością i pracowitością. Wszak tu chodzi o zdobycie rekordu, sprawności organizacyjnej ku pożytkowi i zbudowaniu swoich i zagranicy. Napływają liczne zgłoszenia, wkrótce liczba ich wzrasta do siedmiuset. Naczelny Komitet w Warszawie pod prezydjum prof. Haleckiego, nadsyła zgłoszenia, które wpłynęły przez Stolicę, zaopatrując każdego uczestnika w cenną kopertę z drukami, programami i odznakami zjazdowemi.

Zagadnienia są bardzo zajmujące, a podział na sekcje i tematy referatów sądząc z programu nawskróś aktualne. Wśród prelegentów dowiadujemy się, że przybywa z Japonji prof. Tomoyeda i z Indyj Mr. Yatiswarananda, o brunatnej cerze, odbijającej jeszcze jaskrawiej przy narodowych szatach koloru tango.

Co do krajów europejskich, wszystkie zdaje się, z wyjątkiem Turcji, Grecji i Portugalji były przedstawione godnie przez swoich przemówców. Wśród nazwisk znanych na polu pedagogji wzbudziło ogólne zainteresowanie przybycie z Genewy M-elle Butts, sekretarki międzynarodowego biura wychowania. Prof. Ferrière z Lausanne (niestety, z powodu choroby nie przyjechał), prof. Znaniecki z Poznania, prof. Nawroczyński i P. Wizytatorka Nieniecka z Warszawy, M. Garnier z Paryża, Inspektor generalny nauczania, prof. Vuyst z Bruxelli, prof. Petersen z Jeny, Amundsen z Norwegji, Brunschvieg z Paryża.

Jeśli zechcemy wzrok nasz zagłębić w podział na sekcje, znajdujemy plan świetnie obmyślany. Oto do zbliżenia narodów i ludów, do doprowadzenia rozbrojenia moralnego, prowadzi nas droga przez sekcje „Entente des Peuples". Tu przedstawiają nam referenci szerokie pole zbliżenia drogą korespondencji i wymiany uczni w czasie wakacyj krajów z krajami.

Słyszymy takie zdania: „przyjaciel zagraniczny ma dla młodego swój urok", „Kraj obcy staje się dziedziną realną", „Korespondencja z nieznanym przyjacielem, każe wgłębić się w poznanie samego siebie, wzmaga w opisującym przywiązanie do własnego kraju, który chce jak najlepiej nieznanemu przedstawić, łączy uczucia miłości kraju i miłości wszechświata, budzi współczucie dla cierpiących bez względu na narodowość, — młody korespondent wyrasta na człowieka o wartości wszechstronnej".

Dla podniesienia poziomu moralnego, potrzebna praca, która uśmierza bolesny rozstrój społeczny, spowodowany kryzysem i bezrobociem wśród samej młodzieży. I tu badają te zagadnienia ci, którzy czują się na siłach, stawić opór złemu, uczęszczając na sekcję „Morale et Travail".

Dziś wszystkie narody walczą z demoralizacją, rozbiciem rodziny, zanikiem lub zmniejszeniem poszanowania dla kobiety i kobiety samej dla siebie, przez zatarcie poczucia godności osobistej. Czy przyczyną tego objawu nie będzie zbyt szerząca się idea koedukacji? O tem dyskutują na sekcji o koedukacji i te teorje mniej lub więcej rzeczowo zbijają tęgie siły wybitnych pedagogów. Zagadnienie to chyba dopiero pod koniec XX wieku konkretnie rozstrzygnięte będzie. Kościół katolicki, który z niepewnością i lękiem patrzy na neopoganizm, wypowie po latach, tak jak i dziś to czyni, swoje fachowe w dziedzinie moralności, decydujące zdanie.

Nakoniec zagadnienie, że każda myśl, idea i kierunek tak dodatni, jak i ujemny wpływający na moralność młodzieży, przedostaje się drogą pism, książek i sztuki, będzie tematem IV sekcji obradującej nad „Litterature Enfatine". M-elle Dr. Latgarus z Francji domaga się w swem referacie odmłodzenia prądów w literaturze francuskiej. — P. Janota Bzowski z Warszawy, w referacie swoim dopomina się u opinji społecznej decydującego wypowiadania się w kwestji szerzącej się demoralizacji, domagając się równocześnie od Państwa czynnej reakcji przeciw szerzącemu się złu.

Czy każdy prelegent — wszystkie dyskusje — praca poszczególnych sekcyj lub „plenów" osiągnęły zamierzone szczyty? Sąd o tem pozostawmy przyszłości. My, którzy uczęszczając na wykłady, wnieśliśmy nasze nastawienie katolickie, którym jasno przyświeca idea największego pedagoga i wychowawcy, Chrystusa, brakło w niektórych referatach tego ciepłego, a tak jasnego swą prostotą i prawdą momentu Chrystusowego. Ci, którzy Chrystusa nie dość dobrze znają, albo Go zupełnie negują, przez uszanowania dla nas omijali z całą godnością to, co mogłoby dotknąć nasze wierzenia. Jednak, gdy się weźmie pod uwagę, że w myśl założenia Kongresu, każdy, bez względu na wyznanie, mógł wypowiadać swoje zdanie dotyczące wychowania moralnego dla przedyskusowania swej opinji, przyznać musimy, że i tak padło dużo myśli i słów o Bogu i katolicyźmie — że byli tacy, którzy śmiało odkrywali swą przyłbicę katolicką, szczególnie w ożywionych dyskusjach.

Pierwiastek narodowy tej drugiej potęgi, jaką jest obok religji miłość ku narodowi, był w niektórych momentach silnie podkreślany, ale dziwnie dał się łączyć z ideą internacjonalną i zbliżeniem ludów.

Wtedy to w szukaniu zbratania z innymi widniała cała potęga miłości altruistycznej, wolnej od szowinizmu dla swego narodu. Na ten temat przemawiał porywająco młody Hitlerowiec Wilhelm z Berlina. „Zbliżenie narodów ma wywołać poszanowanie dla drugiego narodu". Wielkie zadanie ma genewskie biuro wychowania międzyna-

rodowego, gdy szuka środków, by przez młodzież prowadzić do rozbrojenia moralnego, a przez to przyśpieszyć rozbrojenie materjalne. Naprawdę, w niejednem sercu i umyśle tych kilka dni Kongresu pozostawiło niezatarte ślady zbliżenia i pacyfistycznego uspokojenia. Na to, żeby zanikła nienawiść, musi zapanować miłość, a miłość obudzi się jedynie na podstawie znajomości, zbliżenia i wzajemnego szacunku. Wyrozumiałość płynie ze zrozumienia, a zrozumieją się te narody, które do siebie zbliżyły się umysłowo, duchowo i kulturalnie.

Polska czuje się szczęśliwą, że na jej terenie odbył się VI Kongres międzynarodowy wychowania moralnego, którego następstwa mogą mieć wielkie znaczenie dla przyszłych pokoleń. Kongres nie miał na celu uchwalania doraźnych wniosków, dlatego praca jego jest może mniej widoczną dla oczu profanów i tych, którym braknie cierpliwości. Ale myśli dodatnie wydadzą owoc, ujemne, przekształcą się pod wpływem dodatnich, zetrą się zbyt radykalne poglądy wypowiedziane i przedyskutowane. Prawda u jednych narodów wcześniej zakróluje nad fałszem i nieprawdą, u innych później, ale na to trzeba „cierpliwości i miłości", jak słusznie powiedział, prof. Zieliński: „Polska w przyszłości stale będzie zabierała głos na Kongresach". Prof. Halecki, skoro wszedł na członka Rady międzynarodowej wychowania moralnego, nie da prawdzie, dobru i pięknu zniknąć, a nawet zmaleć na przyszłych Kongresach. Prof. Nawroczyński, nasz znany pedagog, niejedną czystą ideę moralną wniesie na forum wszechświatowe już nietylko jako myśl, ale jako postulat na przyszłe obrady VII. Kongresu. Polska jak była, tak jest i będzie katolicką, pomimo burz i nawałnic, fałszu i niewiary, niemoralności i brudu jakie w nią godziły, godzą i nieraz jeszcze godzić będą.

Zofja Trzaska.

KONKURS ZAGADKOWY

3. Łamigłówka liczbowa.

Zastępując liczby literami, ułożyć 8 wyrazów, których środkowe litery naznaczone krzyżykami dadzą nazwisko słynnego bajkopisarza.

Znaczenie wyrazów:

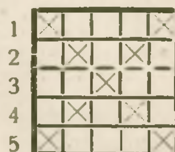
1. otwory	1) 8, 21, ✕ 18, 7
2. imię żeńskie	2) 24, 1, ✕ 10, 1
3. ptak	3) 3, 19, ✕ 7, 15
4. część ciała	4) 20, 16, ✕ 9, 7
5. nakrycie głowy	5) 8, 2, ✕ 2, 23
6. nazwisko słynnego literata	6) 3, 8, ✕ 2, 19
7. rzeźba Michała Anioła	7) 20, 3, ✕ 23, 1
8. nazwisko włoskiego poety	8) 10, 1, ✕ 23, 2

4. Kwadrat geograficzny.

W podane pola kwadratu wstawić 5 wyrazów tak, aby szeregi naznaczone krzyżykami dały nazwy dwu rzek w Polsce.

Znaczenie wyrazów:

1) Miasteczko w Polsce 1
2) Miejsc. kuracyjna w Austji 2
3) Miasto w Czechosłowacji 3
4) Wyspa na m. Śródziemnem 4
5) Miasteczko w Małopolsce 5



5. Szarada sylabowa

Kiedy lato, gęsto w polu stoją sobie **pierwsze — drugie**,
O rozrywki **drugie — trzecie** każdy, gdy wieczory długie;
A gdy spija „coś" śmietankę, talerz szynki pustką [świeci,
Chcecie wiedzieć czyja sprawka? Wybadajcie [**pierwszy — trzeci**!
Całość jest własnością konia, mają je i inne zwierze,
Lecz nie posiadają nigdy: psy, wiewiórki, ani jeże.

TREŚĆ N-RU 2:

WARUNKI PRENUMERATY: ROCZNIE 7 ZŁ.

Numer pojedynczy 0·70 zł.

Konto P. K. O.: „Dziś i Jutro", Nr. 404.930.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor:

Zofja Zakrzewska.

Adres Redakcji; Kraków. ul. Starowiślna 11.

Drukarnia „Powściągliwość i Praca" w Krakowie.